ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej i wiadomościom literackim.

Rok I. Warszawa, dnia 30 stycznia 1909 r. № 5.

Eliza Orzeszkowa.

BÓG WIE KTO.

5 (rok 1863).

— Bardzo, bardzo przepraszamy! — rozlega się za mówiącą, na różne tony—chór niewieścich postaci i w najgrzeczniejszych pod słońcem dygach ku ziemi przysiada.

Teraz ja znowu występuję.

— Niech pan będzie łaskaw powie, ile to futro... ile mamy panu zwrócić.. na odkupienie zepsutego futra... my najchętniej... zaraz...

I znowu dziewięć dygów, z towarzyszeniem chóru.

— Bardzo pana przepraszamy i niech pan będzie łaskaw powie — ile za to zepsute futro...

Co myśleli i czuli, jak wyglądali świadkowie sceny tej, nie wiem, bo w nadzwyczajnem zmięszaniu swojem o istnieniu ich prawie zapomniałam, ale w p. Burakiewicza wlepiłam oczy nie rozumiejące, zadziwione, bo dziać się z nim i na twarz jego wybijać się poczęło coś doprawdy niespodziewanego, nadzwyczajnego.

Na twarz jego, jakby nagle pobladłą nieco, wybijać się poczęła pilna uwaga zrazu, potem radość.. jakaś rozrzewniona, promienna radość.

Już kiedy Wincusia przemawiała, historyę konfederatek, niewykończeniem na czas zagrożonych, opowiadając, gniew zniknął mu z oczu i ukazał się w nich wyraz ciekawej, skupionej uwagi. A potem błysnęła ta radość. Nie wiem, czy ostatnie słowa nasze o pieniężnem wynagrodzeniu szkody zrządzonej słyszał, bo mu powieki dziwnie jakoś mrugać i wargi pod srebrnym wąsem drgać zaczęły, jakby przez gwałtownie cisnące się na nie słowa miotane. Aż wybuchnął.

— Tedy panie dobrodziejki w takim celu moje futeiko pokiereszowały! Na czapeczki dla tych... co tam idą... za... za ojczyznę... Niech mię dyabli wezmą, jeżeli nie jestem kontent, wdzięczen...

Stentorowy głos drżeć mu zaczął, wargi już wprost latały, a niezapominajki, w burak ćwikłowy wprawione, całe były oblane błyszczącą rosą.

— Do dyabła ciężkiego! Czegoż ja tak irytowałem się tu, gniewałem. Przepraszam, bardzo przepraszam! Szelma ze mnie i—dureń! Ale teraz—to dziękuję paniom dobrodziejkom, sto razy, sto tysięcy razy dziękuję... dziękuję... za to, że choć to, choć tem... choć tym kawałkiem sukmany mojej...

Przy ostatnich wyrazach rzucił się ku nam ruchem tak gwałtownym, że aż pomimowoli niecośmy się w tył cofnęły, i począł nas jednę po drugiej w ręce całować. Pocałunki te, jak wystrzały pistoletowe, rozlegały się po przedpokoju, a w przestankach głos gruby, chropowaty, w tej chwili czułością jakąś, smutkiem jakimś przejęty, mówił.

— Bo to, panie dobrodziejki moje, stary jestem i sam już nie mogę.. a syna nie mam... i obcy tu osiadłem, nikomu nieznajomy... tedy nikt mnie nie ufa, nikt odemnie niczego nie żąda... a ja z serca i duszy radbym... czemkolwiek radbym przyczynić się... służyć...

Już wszystkie nas jedenaście z kolei, bo Czernisię i Marylkę także w rękę pocałował, gdy nagła myśl jakaś strzeliła mu do głowy. Znieruchomiał, przez parę sekund oczyma zamyślonemi po nas wodził.

— A może... — zaczął,—może więcej potrzeba.. może jeszcze uciąć?...

Ażeśmy się zatrzęsły od zdziwienia i od—tajonej radości. Lecz nie wypadało tak odrazu propozycyi zdumiewającej przyjmować! Więceśmy chórem i pojedyńczemi głosami wołały.

— Dziękujemy! dziękujemy bardzo panu! Pan bardzo dobry! ale nie możemy nadużywać... I bez tego nie wiemy, ile za taką szkodę...

— Co tam: ile! jakie tam: ile! To ja paniom dobrodziejkom wieczną wdzięczność... niech mię dyabli porwą, jeżeli kłamię, że wieczną wdzięczność... i jeżeli więcej po-

trzeba... jeżeli, w ogólności mówiąc, czegokolwiek potrzeba...

Tu—na czoło orszaku wysunęła się z pomiędzy towarzyszek Oktunia i, w amazonce swej zgrabna, śmiała, a na twarzy tak wyglądająca, jakby wnet z uniesieniem: „Rachelo, kiedy Pan“ zaśpiewać miała, rzekła.

— Jeżeli prawdę wyznać mamy, to nam jeszcze do dziesięciu... oszycia barankowego brakuje...

— Brakuje! — wykrzyknął, — a co? Przeczuła dusza moja, że jeszcze brakuje...

Zerwał z wieszadeł smutne ruiny futra swego i podawał nam je, to jednej, to drugiej wprost w ręce wciskając.

— Proszę, proszę! Niech te szelmy barany szczęścia tego dostąpią... zaszczytu tego... i ja razem z niemi...

Wzruszone, zadziwione, onieśmielone cofałyśmy się, dygałyśmy, nie śmiąc daru przyjmować... Hrabina pierwsza pochwyciła jednę z rąk, które go podawały, i mocno ją ścisnęła, poczem ta czerwona, szorstka ręka od jednej do drugiej dłoni niewieściej przechodziła, ściskana, wstrząsana, nie po światowemu, nie po salonowemu, ale po prostu, serdecznie. I mówiliśmy ciągle.

— Czy podobna? Ależ niepodobna! Jakże pan bez futra pojedzie! Dziś tak chłodno! I nam aż tyle nie potrzeba!

— Nie potrzeba aż tyle! No to drugą połę tylko... do dziesięciu czapeczek drugą połę... Pewno jak raz wystarczy...

W ręku Wincusi dziwnie jakoś w porę nożyce błysnęły i zadzwoniły.

— Ot, i nożyczki są! — p. Burakiewicz zawołał,—dzięki Bogu, są nożyczki... za pozwoleniem pani dobrodziejki...

Wychwycił z rąk Wincusi nożyce ruchem tak niesalonowym, że aż syknęła trochę z bólu, i w mgnieniu oka resztki baranów swych na stole rozłożywszy: czach, czach, czach! Krając, mruczał:

— Twarda bestya ten baran... ale i nożyce szelmy tępe... niech ich dyabli...

A gdy piękne niegdyś futro żadnej poły już nie miało, zaczął pozostałość na siebie wkładać.

— Panie dobrodziejki mówią, że dzień dziś chłodny, ale ja sobie z tego kpię... Zdrów jestem... chwała Bogu, i mogę choćby w mróz bez futra... A tu jeszcze piersi i plecy okryte...

Wciągnął na plecy to dziwne ubranie, które tak zupełnie, jak niewieście *figaro*, wyglądało, tem tylko od niego się różniąc, że było z rękawami i że z cięcia, przez nożyce operacyjne zadanego, zwisały mu ku dołowi bajecznie żałosne strzępy waty, sukna i podszewki.

Ale teraz otoczyli go panowie, wszyscy trzej domowi i gość. Gospodarz domu prosił.

— Niech sąsiad będzie łaskaw tak zaraz nie odjeżdża.. Może obiad zjemy razem... Konie do stajni niech odejdą...

Nie przez grzeczność, nie przez zwyczajną grzeczność po raz pierwszy do domu swego p. Burakiewicza, jako gościa, zapraszał. W głosie jego czuć było wzruszenie.

A pana Burakiewicza zaprosiny te i ich serdeczność — rzecz dziwna! — nie ucieszyły, lecz zadziwiwszy zrazu, rozlały po nim owszem zasmucenie czy zamyślenie. Ciszej nieco, niż mówił zwykle, odpowiedział.

— Dziękuję panu dobrodziejowi, bardzo dziękuję... ale odwykłem... a prawdę powiedziawszy, do takich kompanij i nigdy przyzwyczajony nie byłem... Jak dzik — odyniec pomiędzy drzewami leśnemi, tak ja samotny pomiędzy ludźmi chodzę i nikt mnie bratem ani swatem nie jest. Szelma dola taka... ale co robić? Kiedy Panu Bogu tak podobało się... i już niedługo... stary jestem... więc niedługo już na tym dyabelskim świecie... Ale ot o co ja pana dobrodzieja poproszę...

W obie ręce wziął rękę gospodarza domu i, dziwnie prosząco w oczy mu swemi błyszczącemi niezapominajkami patrząc, zniżonym nieco głosem mówił.

— Niech panowie będą łaskawi w każdej potrzebie, takiej ogólnej... w każdej okazyi takiej, co to grosza, albo trochy pracy jakiej potrzeba, do mnie odzywają się... Ja chcę... ja żądam... czemkolwiek przysłużyć się... matce... bo przecież i ja.. syn jej... a że los szelma pomiędzy samych obcych na ten świat mnie rzucił, to ja i nie narzucam się nikomu... a tylko... dyabli wiedzą, co w sercu siedzi i spokojności nie daje...

Zaczęli go wszyscy czterej coraz ściślej otaczać, coraz serdeczniej zapraszać. Niech do nich przyjeżdża, niech się bliżej z nimi zapozna, oni także odwiedzać go będą.

Ale czerwonemi rękoma machać począł.

— Ej, nie! Ej, nie! Z duszy, z serca dziękuję, ale nie! Odwykłem... nie przywykłem... dyabłami, jak parobek, sadzę... w samotności mnie najlepiej... ogródek swój pielęgnuję.. drzewka to moje dzieci... dumki smutne—moi goście. Żegnam państwa dobrodziejstwa, żegnam, dziękuję!

I szedł ku wyjściu w swojem dziwnem *figarze*, z żałosną frendzlą.

Ale my znowu tak bez niczego rozstać się z nim nie mogłyśmy i, przy drzwiach go dopadłszy,—Boże drogi!—czegośmy mu nie nagadały! jakiemiśmy go miłemi, serdecznemi słowy nie osypały! Zdaje się, że hrabina parę razy pieszczotliwie go po ramieniu pogłaskała... Zdaje się nawet, — choć tego nie zupełnie pewna jestem, — że czerwone policzki jego, srebrnawą kądzielą otoczone, od Oktuni, Wincusi i odemnie dostały trzy całusy...

I potem dopiero, po odjeździe p. Burakiewicza, odbył się nad nami sąd, nie sąd parów, broń Boże, ale daleko wyższy, bo naszych i wszelkiego stworzenia panów.

A kiedy przy obiadowym stole bardzo już gderaniem nas nudzili i wyrzutami oburzali, Czernisia, która z nami dnia tego obiad jadła, wyprostowała na krześle swoję długą postać i z czarnemi oczkami, jak żużelki, gorejącemi, rzekła.

— A mnie się zdaje, proszę panów, że kiedy pan Burakiewicz

przebaczył i jeszcze podziękował, to i przez wszystkich przebaczonem i zapomnianem być powinno... Nie dla samych siebie przecież panie połę tę ucinały, ale dla szczęśliwości publicznej...

Miała słuszność Czernisia. Po dniu tym i po całej tej wiośnie, nastąpiła u nas taka szczęśliwość publiczna, że aż—ha!

KONIEC.

Władysław St. Reymont.

MARZYCIEL.

5

Józio obliczył i wymówił jakąś cyfrę bardzo zmatowanym głosem.

Amerykanin zapłacił a, zgarniając resztę, niedbale odsunął rubla.

— Upewniam pana, że zupełnie dobry!

— To dla pana.

— Nie jestem tragarzem i napiwków nie biorę!—syknął głęboko obrażony.

— Dyabli wiedzą, kto u was bierze lub nie...

— Niech pan uważa i daje tam, gdzie się po to wyciągają ręce.

— A któż u was nie wyciąga ręki!—zaśmiał się ironicznie.

Józio wytknął głowę przez okienko i krzyknął wzburzony do tragarza.

— Michał! ten pan zostawił dla was rubla.

Amerykanin zawrócił i, wyciągając do niego rękę, rzekł bardzo serdecznie:

— Przepraszam pana, nie wiedziałem.. Nie chciałem pana obrazić...

Józio chętnie dał się przeprosić, Amerykanin wydał mu się tak miłym człowiekiem, że rozmawiał z nim z przyjemnością, prosząc go w końcu o adres.

— Wybiera się pan do Ameryki?

— Marzę o tem od wielu, wielu lat. Może nawet wkrótce wyjadę...

— Dobrze pan zrobisz, pluń pan na Europę i uciekaj, póki czas. Zrobiłem to sam i wcale nie żałuję. A co pan umie?

— Skończyłem sześć klas gimnazyum, umiem parę języków...

Amerykanin roześmiał się bardzo wesoło i bardzo ironicznie.

— Ale czy umiesz pan co robić?

— Robić? ależ ja nieraz muszę orać na służbie po szesnaście godzin dziennie, to chyba dosyć ciężka praca?

— Naturalnie—że i to praca, bez wątpienia. Przytakiwał nieco chłodniej, wręczył mu swój bilet z adresem i uścisnął dłoń, gdyż pociąg już nadchodził. Józio długo i z pewnem nabożeństwem przyglądał się adresowi.

— Kto wie, może zajrzę i do Ameryki! Ciekawy kraj! Myślał i już roił o gwarnych, olbrzymich miastach, już słyszał huk nieprzeliczonych fabryk, już mu zamajaczyły nieprzejrzane równie Far Westu, już płynął oceanami, przedzierał się przez bory, przez góry, pokryte wiecznemi śniegami, przez rzeki i pustynie, doznawał tysiąca przygód i czuł tysiące upojeń i roskoszy.

Ekspres wleciał na stacyę, niby koń rozhukany, i, niby koń, wstrzymany potężną dłonią, osadził się na miejscu. Olbrzymie Pulmany świeciły wszystkiemi oknami, kilkanaście osób wyglądało z wagonów.

Józio zamknął kasę i wyszedł na próg przyjrzeć się podróżnym.

— Jakoś pusto dzisiaj!—zwrócił się do nadkonduktora.

— Gdzież tam, nabite, ani jednego wolnego miejsca! Jaśnie państwo ucieka do ciepłych krajów!—dodał ironicznie, biorąc w zęby gwizdawkę.

— Wcale się im nie dziwię, że wolą Nizze i Monte-Carlo, tam ciepło...

— A czy na prawdę tam cieplej, niźli u nas?

Józio roześmiał się pobłażliwie i prędko mówił.

— Człowieku niewierzący! Tam, w miesiącach zimowych średnia temperatura dochodzi trzynastu stopni ciepła, to dosyć, nieprawdaż? A dołóż pan do tego morze, zawsze błękitne, niebo bez chmur, wyniosłe palmy, olbrzymie plantacye kwiatów i najpiękniejsze w Europie wybrzeża.

Nadkonduktor wyjął z ust gwizdawkę i szepnął z podziwem.

— Nie wiedziałem, że pan zna te miejscowości!

— Lepiej, niźli tę zgniłą dziurę!—wzgardliwym gęstem wskazał stacyę. W Pulmanie opadła szyba i Amerykanin zawołał do niego.

— Good Bye!

— Good Bye! — odkrzyknął, podchodząc spiesznie pod okno.

Uścisnęli sobie ręce, lady Kaśka skinęła mu głową, świst maszyny rozdarł powietrze, i pociąg ruszył zaraz z miejsca, nabierając ostrego pędu. Józio szedł wraz z nim kilkanaście kroków, ostentacyjnie wymachując kapeluszem.

— Pan ma ciekawe znajomości!—zauważył z pewną ironią zawiadowca. Józio, uśmiechając się smętnie, odpowiedział jakoś niedbale, od niechcenia.

— Poznałem ich kiedyś w Paryżu czy też na Rivierze...

— Cóż, nie przejeżdżała jeszcze ta pańska nieznajoma księżniczka?..

— Mam pewne wiadomości, że przejedzie w tych dniach!—odwrócił oczy, gdyż zawiadowca uśmiechał się dziwnie, jakby drwiąco.

— Ale pan ma szerokie stosunki!—ściągał uroczyście białe rękawiczki.

— Dosyć, przecież kolej nie jest dla mnie całym światem!

— Mnie to nawet dziwi, że panu się chce służyć!—drwił już otwarcie, ale Józio, nie zważając na przycinki, ozwał się melancholijnie.

— Może już niedługo, może nawet prędzej, niźli pan przypuszcza.

— Ale tymczasem, niech pan przyjdzie do nas na herbatę i małego preferka. Będzie i panna Irena! — uśmiechnął się znacząco.

— Bardzo żałuję, ale już się komuś na dzisiaj obiecałem...

— Naturalnie prezesowej! I dodał złośliwie:—swój zawsze ciągnie do swojego...

— Niechże pan wie, że nie ciągnę do nikogo i nie zabiegam o niczyje względy. Zawiadowca raptem zesztywniał i zmienił ton na przykro urzędowy.

— Ale, na pospieszny otworzył pan kasę o całe dwadzieścia minut za późno! Pasażerowie robili mi awantury!

— To niech pan złoży na mnie raport, a monity daje swoim pomocnikom! — odpowiedział porywczo i rozeszli się w gniewie, co im się zdarzało bardzo często.

Józio spiesznie zdał służbę, a mijając oświetlone okna kanceryi zawiadowcy, który siedział we władczem odosobnieniu, szepnął zirytowany.

— Stary cymbał!

I poleciał do domu. Mieszkał za stacyą w dużym drewnianym domu, prawie ukrytym między wyniosłemi drzewami, przy samym plancie.

— Frania się już rozgospodarowała!—mruknął, dojrzawszy oświetlone pięterko. W sieni dosyć mrocznej spotkał panią Zofię, żonę maszynisty, u której się stołował, zaparła przed nim schody swojemi bujnemi kształtami.

— Czy zejdzie pan na kolacyę? Gorącą prośbę miała w głosie.

— Nie mogę dzisiaj, czeka na mnie kolega.

— Kolega? Byłam pewna, że to pan wrócił, bo ktoś tam spacerował. Magdzia poleciała na górę, ale ten kolega nie otworzył i ani się odezwał.

— Może już spał! Przyjechał z Warszawy bardzo znużony.

— To niechże i pan zaraz się położy. Musi pan być niewyspany, do czwartej czekałam, aż ucichnie w tym tajemniczym pokoju, nie mogłam również spać... Któż słyszał markować po całych nocach! Wygląda pan coraz mizerniej...

— Zaczytałem się nieco i ani spostrzegłem, jak wybiła czwarta.

— Jeśli przeszkadza zegar, to każę go na noc przenosić do kuchni..

— Bardzo go lubię, w nocnej ciszy rozlega się, jak srebrny, daleki dzwon.

— Nie brak tam panu czego? A czy Magdzia porządnie sprząta?

— Jak anioł! Dziękuję pani za wszystko.

— Chciałabym, aby panu było u nas dobrze...—szepnęła z naciskiem.

— I jest mi, jak w raju. Pocałował ją w rękę, przytrzymała ją na chwilę, gderząc śmiesznie spieszczonym głosem.

— A proszę zaraz iść spać... nie czytać... i o niebieskich migdałach nie marzyć..

— A o czem mam marzyć?.. Zajrzał z bliska w jej oczy, oblała się rumieńcem, zrobiła ruch, jakby chciała mu się rzucić na szyję — i ucichła spłoszona.

Wzruszył ramionami, nie rozumiał bowiem jej troskliwości o siebie, ni jej płonących oczów, ni nawet bardzo wyraźnych słów!

DCN.

Zygmunt Bartkiewicz.

63.

3

Po starych dziedzicach kilkoro dzieci zostało: synowie, jak dęby; dziewczęta, jak zboże, — ale inny był to ludzi gatunek. Trzeźwe, mądre miasto dzieci wzięło w opiekę, więc w duszy zgasło niejedno, rozetliło nowe, nie gorzało nic. I lepiej, bo ziemi własnej sporo przybyło, pański dostatek się zjawił, a z nim zabiegliwa żądza i w sercu o dobro niepokój.

Niepokój zmienił się w trwogę, gdy od księży Karmelitów „Boże, coś Polskę“ zagrzmiało, do Tatrów pobiegło po echo i w milionie pieśni po cichej równinie spłynęło.

Za pieśnią zjawili się ludzie ze słowem gorącem, przemykali po borach, a z nimi w chatach leśniczych, smolarniach, opuszczonych pustelniach zabrzmiały cudne okrzyki—o wyzwoleniu, braterstwie, wolności i szły przez kręte, leśne ścieżyny, manowce, gościńce, do chat dymnych i dworów, i różne w duszach nieciły uczucia.

Ten śmiał się, ów płakał, a inny już liczył, ile złota z krwią spłynie dla niego, ale w trwodze i ciszy, bo nikt się na myśl głośną nie ważył, a zapytany, rozglądał się bacznie, drzewom i murom, i sobie nie ufał.

— Po co to? Na co? Młodość— pustota; krwi szkoda...

I już się przeraził, że powiedział za wiele.

Burzyli się młodzi, że nikt sercem świętej sprawy nie chce zrozumieć, a trzeźwą cyfrą gromi młodzieńcze porywy. Cóż znaczy liczba bezduszna — mówiono — co tysiąc armat moskiewskich, gdy w sercach niema zapału? Młódź parła całą siłą do walki, ale po za tą garścią, zda się, z ognia, i prochu, chłód wiał a rozwaga. Z gorącym wyrazem spierało się zimne szyderstwo.

I nie było na pozór przychylnych, ale pod lasem, gdzie emisaryusz, niby lis tropiony, przemykał, a na drugi dzień już kupa zziębłych i głodnych na nocleg zapadła, wnet, jakby z pod ziemi wyrosłe, zjawiały się sterty siana, a człowiek-niemowa wózkiem zajeżdżał, faski z jadłem, butelki wyrzucił—i chyłkiem umykał.

Darmobyś pytał, próżno dociekał, kto ów dobrodziej; wyparł się każdy, nawet rozsrożył, gdy mu chciano dziękować.

— Jeszczebym miał karmić za tę do krwawej swawoli ochotę. Niedoczekanie wasze!

I szedł do jejmości naradzić się, co na jutro w kuchni przyrządzić, a wysłać przemyślniej.

Burzyło się po wsiach, szedł już głuchy pogwar od lasów, przykra cisza od miasta, aż nagle wieść o brance przez Polskę przebiegła.

Drgnęły bólem serca matczyne, żal w ojcową rozwagę uderzył—odpowiedziała im puszcza:

— Pomścimy!

Wtedy od miasta, ze szczękiem oręża, z armat turkotem głos ponury się ozwał:

— Miatież!

A gdy w kampinoskich borach padły pierwsze strzały... wiwatów na blizką zagładę, gdy Langiewicz otoczył się sztabem wspaniałym w sto koni, a kilkuset źle uzbrojonych ludzi w pierwszych utarczkach zagubił, żal serdeczny ogarnął tysiące, a z miliona piersi szerokich i zdrowych wzniosły się słowa mydlane o krwi bohaterów. Rzymianach, ojczyźnie, zaszumiały rady bezpiecznych doradców, strategów, tchórzem podszytych, tylko lud coraz gęściej szedł w lasy, a serca uderzyły na trwogę wśród panów.

— Ekonomiczny upadek!

— Rozbój, bo na nas się skrupi!

— Co tam, złe minie... Oby nam się dobrze działo, sąsiedzie!

— Kochajmy się — jedność to grunt!

I piło, jak za dobrych czasów. Jak za Targowicy.

* * *

Jasnego dworku dziedzic, pan Walery Kozłowski (nie z tych Kozłowskich, a z innych), był to chłop duży, wąsaty, w miarę urodziwy, a mowny. Pijał wiele u drugich, nie rad u siebie przyjmował, boć to przecie polska gościnność bez troski—jak mawiał—pogrążyła ojczyznę. Czas już otrząsnąć się z dawnych nałogów, a pracy jąć, aby to, co dziadowie stracili, odzyskać, przemysłem rodzimym Moskwę zrujnować – cios bezkrwawy, a pewny,— tak prawił po dworach; do handlu, do fabryk sąsiadów zachęcał.

Za tęgą głowę i dzielnego obywatela uchodził w opinii, bo i ziemi, i grosza przysporzył, a brzydkim nie splamił się czynem, honor cenił wysoko. Trąbami pieczętujący się, przyszedł na świat z dziedzicznym honorem, jak człek inny z chorobą po ojcu, którą i dzieciom, i wnukom przekaże. Oczywiście, to i owo pan Walery w obowiązkach spadłego honoru musiał odmienić, złagodzić, a że za postępem szedł, wyrzec się różnych staroszlacheckich przesądów. Gorzelnię miał, o tartaku zamyślał, z chłopa i ziemi, co mógł, korzyści wycisnął, tedy był człowiek przemyślny, a zatem, choćby i z mniejszym honorem (w handlu, jak w handlu—wiadomo) obywatelem był godnym, dobro kraju, ale bez krzywdy dla siebie, na celu mającym.

Przekonań politycznych pana Walerego nikt nie znał dokładnie; to pewna, że politykiem był wielkim, bo i Wielopolskiego rozum pochwalił, i zamknięcie Towarzystwa rolniczego za klęskę uważał; podatek rządu narodowego opłacał w dwójnasób, i z władzą rosyjską za pan brat żył. U naczelników, że tancerzem był sławnym, kotredanse prowadził, a w domu, w zaufanem kółku sąsiadów, jak przy szpinecie siadł, jak „Jeszcze Polska nie zginęła" huknął, szyby drżały i serca. Sciskali go wszyscy ze łzami:

— Niech tylko oni z tą wiarą, z tem uczuciem zakrzykną, a kosy w garść, to przepędzimy moskali za Ural. Za Ural, panie łaskawy! My, panie...

Zaś w ciszy małżeńskiej alkowy pan Walery jejmości się zwierzał

— Tak trzeba, jak można, a inaczej nie można.

I dobrze, i spokój, i w sercu a w myśli porządek.

Jedna tylko troska pana Walerego gryzła: syn do lasu się rwał. Aż dziw, bo ojciec od lat dziecinnych na kupca go sposobił, umiłowanie tego zawodu zalecał, a wiedząc, że nie śpi licho w krwi szlacheckiej nigdy, od konia go strzegł, a broni tknąć wolno nie było. I chował się pan August wedle myśli ojcowej. Zmógł w sobie rycerską ochotę, szerokie bary nad książką handlową pochylił i ślęczał, tłumiąc, co w myślach mu grało. Lecz gdy pierwsze hasła ozwały się w lasach, rżnął młody dziedzic księgi o ziemię, ojca za nogi ułapił.

— Ja pójdę... obowiązek... ojczyzna!..

Stary „błazna" zaryglował w lamusie i codzień na gawędę tam chadzał. Argumenty miał silne czarno na białem wykładał niepodobieństwo spełnienia szalonych zamysłów, płakał i groził, ale codzień gniewniejszy powracał od syna. Służba szeptała po kątach:

— Stary, musi, do lamusa dziś chodził, bo okrutnie sierdzisty.

Jakiegoś poranku larum się podniosło we dworze: lamus otwarty, ani śladu panicza, tylko kartelusz po nim pozostał i kwiatuszków garstka.

Krwisty był stary, udar go cisnął o ziemię, ale nie zmógł duszy rogatej. Gdy oprzytomniał, dwudziestu chłopów na konie, pościg zarządził, sam śledztwo rozpoczął, a że skory na rękę był, sądny dzień nastał.

Kto, co i jak? Krzyk, lament, ale okazało się rychło, że dworska dziewucha, Marynka, jakiś tam miała w lamusie, pono serdeczny, interes, a potem zabaczyła o ryglu.

— Laboga, o Jezu! skusiło mię serce, a tera ino do wody mi iść, bo już życie nie miłe...

W stajni sam dziedzic rózgi jej liczył, a gdy krwią spłynęła dziewczyna i febra odeszła go nieco, ruszył do dworu, gońców wypatrywał. Długo czekać mu było, klął Boga i ludzi, co pod ręką miał, tem ciskał, kaleczył, aż siny legł i cyrulika krzyknął.

Nocą z pościgu zjeżdżać chłopi poczęli, żaden przed nim stanąć nie śmiał, dopiero rankiem włodarz do kancelaryi ich spędził. Stary powiódł krwawemi oczami.

— Gdzie reszta? — i chłop z brzega pod ścianę się potoczył, splunął zębami i jęknął:

— Do Langiewica, juchy, przystały...

Oniemiał dziedzic, osłabł z wściekłości, bez tchu opadł na krzesło.

— Precz!—szepnął.

Chłopstwo we drzwi runęło.

W dziedzińcu folwarcznym, gdy już byli od dworu daleko, okrwawiony mruknął:

— Naści wolność i pańskie kochanie...

— Samiśta winni, bo kiedyśta młodego pojmali, trza go było do dworu odstawić.

— I jakże, kiej tak prosił serdecznie; toć nie z kamienia je człowiek.

* * *

Stary dotkliwej straty nie mógł przeboleć, bo to ośmiu chłopów na schwał, ośm szkap nieladajakich utracić, zwłaszcza na czasy ciężkie, niepewne, to i dla bogacza krzywda niemała. A gorzej to jeszcze, że na nic, jakbyś w wodę rzucił, szesnaście sztuk bydląt roboczych. Zżymał się, ciskał, do Langiewicza list wysłał, okup chciał dać, a gdy w odpowiedzi przyszła groźba batogów, zaciął się, znaku bólu nie dawał, tylko zemstą dyszał w cichości i nią się lubował.

— Już ja cię... panie sandomierski wojewodo, dostanę, ale cię oddam, żebyś, wedle zasługi, poszedł wysoko...

— Wysoko... Między trzy bale—radował się stary,—i wśród nocy bezsennych snuł różne zamysły, dnia czekał, lecz nocne myśli ponury blask słońca rozpraszał.

— Nieszlachecka rzecz: zdrada!

DCN.

PRZYWÓDCA.

Scena 4.
Kazimierz, Ludka.

KAZIMIERZ. Pani Marya jest dziś jakaś niezwykła.

LUDKA. Jest trochę rozstrojona. Czy może się pan dziwić?

KAZIMIERZ. Tak!

LUDKA. Ukroję panu jeszcze. Dobrze?

KAZIMIERZ. Jeśli pani łaskawa.

LUDKA *(kraje mięso na półmisku)*. Mania, która bierze w tem wszystkiem udział!... Ja stoję zdaleka, a jednak wiadomości, które pan przyniósł... to wstrząsające! *(podaje mu talerz)*. Wie pan, ja podziwiam waszą odwagę. Taka odpowiedzialność! Tysiące rodzin! Kto przewidzi, co może nastąpić!

KAZIMIERZ. Proszę pani, trzeba tylko zrozumieć... Nasza sprawa jest sprawą wszechludzkiej sprawiedliwości... My musimy wierzyć w jej zwycięstwo, bo ją kochamy... z całej duszy. Przecie ona wiedzie do ogólnego szczęścia!

LUDKA *(zamyślona)*. Tak... ale drogą jakich poświęceń! I czy to zaraz zmieni się dusza ludzka? Czy w innej formie nie rozpocznie się ta sama walka silniejszych ze słabszymi... *(wstrząsa nią lekki dreszcz)*, Jabym się lękała takiej strasznej odpowiedzialności.

KAZIMIERZ. Gdyby pani miała ciągle przed oczyma tę zapracowaną, poniewieraną nędzę!...

LUDKA. Czy pan myśli zawsze tylko o szczęściu innych?

KAZIMIERZ. Własne troski wydają się tak nikłemi!

LUDKA *(oparta na rękach, snuje wątek jakichś myśli, których nie wypowiedziała)*. Ja miałam słuszność... Panu musiało być bardzo źle na świecie.

KAZIMIERZ. Pamięta pani? Wtedy, pierwszy raz... pytałem panią, czy pani była kiedy głodną... *(odsuwa talerz)*. Nie mogę jeść, gdy sobie przypomnę.

LUDKA *(poruszona)* Pan znał głód?

KAZIMIERZ. Tak.

LUDKA *(lekki wyrzut w głosie)*. Pan nigdy nic nie mówi o swem dawnem życiu.

KAZIMIERZ *(niechętnie)*. Nieciekawe!

LUDKA. Rodzice pana nie żyją?

KAZIMIERZ. Już w szkołach musiałem sam sobie dawać radę. Uczyć dzieci innych... *(śmieje się bez wesołości)*. He... he... Korepetycye... Zresztą zwykle nie płacono mi za nie...

LUDKA. Dlaczego?

KAZIMIERZ. Bo ja wiem!... W życiu trzeba być śmiałym, zuchwałym... Do własnego szczęścia dążyć choćby kosztem szczęścia innych... Ja nie potrafiłem. Gdy szło o mnie samego, byłem zawsze nieśmiały. Niech pani spojrzy na mnie: mnie zawsze przeszkadza własna osoba, wydaje mi się, że mam ręce za długie... nogi za długie... Nie wiedziałem nigdy, co z sobą zrobić... Czułem się swobodnym tylko z takimi wydziedziczonymi, biednymi, smutnymi, jak ja *(uśmiecha się)*. Pamiętam raz... miałem lat dwadzieścia... rodzice jednego z uczniów zaprosili mnie na bal. Nie miałem fraka... w jakimś źle skrojonym surducie... i taka trwoga dziwna. Wchodzę do salonu... Panie, pięknie postrojone, obnażone szyje, ramiona... muzyka, zapach perfum... Takich ładnych, ponętnych, wykwintnych kobiet jeszcze zblizka nie widziałem. Tańczyły, śmiały się, jak świergot ptaków na wiosnę... *(po chwili, znowu ten sam uśmiech)*. Co pani chce, mnie wepchnięto zaraz w jakiś kąt, gdzie siedziało kilka starych panien, brzydkich, opuszczonych, złych... Już zostałem z niemi przez cały wieczór. Rozumie pani... tak przez całe życie.

LUDKA *(wzruszona)*. Teraz lepiej pojmuję, zkąd się w panu bierze tyle żalu... Pan musiał się przecie czuć lepszym, wyższym od innych, a tymczasem...

KAZIMIERZ. Nie, wcale nie. Tylko, być może, w każdym człowieku jest instynktowne pragnienie szczęścia, taki instynkt egoistyczny...

LUDKA. Ale gdy pan zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę, gdy pan już posiadł taką panującą wolę, postać rzeczy zupełnie się zmieniła.

KAZIMIERZ *(smutnie)*. Cóż się zmieniło?

LUDKA. Może pan sięgnąć po własne szczęście... nie ujmując nic pracy i usiłowaniom dla szczęścia innych... Mnie się zdaje nawet, że tylko człowiek, rozumiejący własne szczęście, może tworzyć prawdziwe, rzetelne szczęście innych. Tylko ten rozumie życie, jego bóle i radości. Pan zgłębił bóle, trzeba, żeby pan odczuł radość!

KAZIMIERZ *(j. w.)* To już nie dla mnie.

LUDKA. Jakto—nie dla pana! Dla kogoż więc? Któż więcej wart, niż pan, żeby. . *(urywa)*.

KAZIMIERZ. Żeby co?

LUDKA *(trochę zmieszana)*. To tak trudno powiedzieć. Pan przecie rozumie...

KAZIMIERZ. Chciałbym dożyć tylko dnia zwycięztwa, dnia tryumfu... żeby słońce zaświeciło jednakowo dla wszystkich! *(po chwili)*. Może i tego nie dożyję, może zostanę na drodze gdzie,—cicha mogiła, która prędko trawą porośnie, bo nikt na niej modlić się nie będzie... i koniec!

LUDKA *(coraz silniej wzruszona, w głosie łzy)*. Niech pan tak nie mówi!

KAZIMIERZ. Przepraszam, żem panią zasmucił... Niech pani wybaczy! *(silí się na wesołość)*. Ot, nasza polska tęsknica, wzbiera czasem nawet w takich, jak ja... *(spostrzega wzruszenie Ludki i patrzy na nią badawczo)*.

LUDKA *(stara się zapanować nad swem wzruszeniem)*. Nie... nic...

KAZIMIERZ. Niech pani daruje. Ja tak nigdy z nikim nie rozmawiam. Przed panią nie boję się nawet zostać śmiesznym.

LUDKA. Pan wcale nie jest śmiesznym. Pan. . *(urywa i odwraca twarz)*.

KAZIMIERZ *(nagle zaczyna rozumieć, że to wzruszenie Ludki wywołane zostało czemś więcej, niż współczuciem, i nie śmie temu wierzyć)*. Panno Ludwiko!

LUDKA *(nie odwraca głowy, miękko)*. Co?

KAZIMIERZ. Niech pani pozwoli... Niech pani spojrzy na mnie... *(Ludka odwraca się zwolna do niego)*. Ja nie śmiem pomyśleć... Pani! na prawdę?...

LUDKA *(cicho)* Czemu pan się boi...

KAZIMIERZ *(porwany)*. Taka kobieta, jak pani... taka dobra, taka piękna... Jest że to możliwe? Niech

pani powie prędko, że to niemożliwe, bo... bo ja nie wiem, co zrobię... ja na kolana padnę... ja.. modlić się będę... Pani nie żartuje ze mnie...

LUDKA *(bardzo wzruszona)*. Pan...

KAZIMIERZ. Niech pani powie jedno słowo!

LUDKA *(waha się przez chwilę i potem podaje mu obie ręce)*. Ma pan!

KAZIMIERZ. Panno Ludko! *(w głębokiem wzruszeniu przyciska jej ręce do ust)*.

LUDKA *(napróżno walczy ze wzruszeniem)*. Dosyć... dosyć... *(wyrywa ręce)*. Och! aż mnie tam... *(wskazuje na serce i siada)*.

KAZIMIERZ *(przerażony)*. Pani słabo?

LUDKA. Nie... dobrze... *(mimowolnie)*. A ja myślałam...

KAZIMIERZ. Co pani myślała?

LUDKA. Nic... nic... Pan naprawdę... taką przeciętną, zwyczajną Ludkę?...

KAZIMIERZ. Pani odsłania mi nowe życie, nowy świat!

LUDKA *(zwierza się naiwnie)*. Ja, jak pana zobaczyłam pierwszy raz, to pan wydał mi się taki inny, niż wszyscy... taki biedny i jednocześnie taki mocny... nie wiem... uczułam się wzruszona... wróciłam tu i myślałam ciągle o panu.

KAZIMIERZ. A ja... pani obraz nie opuszczał mnie na chwilę... Musiałem użyć całej siły woli, żeby odpędzić go...

LUDKA. Niedobry! *(wchodzi służąca drzwiami na lewo)*.

SŁUŻĄCA. Proszę pana?

KAZIMIERZ *(jak zbudzony na pół ze snu)* Co? A... Co takiego?

SŁUŻĄCA. Przyszli trzej panowie z fabryki... Mówią, że pilny interes... że pan będzie już wiedział...

KAZIMIERZ *(j. w.)*. Trzej panowie... *(ocknął się)*. A... prawda... *(do Ludki)*. Delegaci... Zapomniałem zupełnie... w takiej chwili!...

LUDKA. Niech pan każe poprosić tutaj. Ja przejdę do pokoju Mani... *(do służącej)* Tutaj *(służąca wychodzi)*. Nie będzie pan żałował?

KAZIMIERZ *(chwyta ją za rękę i całuje)*. Jak pani może coś podobnego powiedzieć! *(Ludka wychodzi)*.

DCN.

Robert Hichens.

OGRÓD ALLAHA.

5

Przekład z angielskiego.

IV.

Oddawszy bilet kontrolerowi, Domini wyszła ze stacyi. Szła za nią Zuzanna, wyglądająca i stąpająca, jak wyczerpana maryonetka. Batucz, który wysmyrgnął z wagonu trzeciej klasy, zanim się pociąg zatrzymał, szedł tuż za niemi—i gdy doszły, gdzie na drodze zebrany był tłum liczniejszy Arabów, przyłączył się do nich z miną, jakby je miał sobie na własność.

— Do jakiego pani hotelu?

Domini obejrzała się.

— Ach, Batucz!

Zuzanna podskoczyła, jak targnięta za sznurek, i rzuciła na poetę spojrzenie strasznie podejrzliwe. Obejrzała go przytem od stóp do głów.

— Idziemy do hotelu Pustyni,— ciągnęła dalej.—Daleko stąd?

— Kilka minut drogi, proszę pani.

— Przejdę się piechotą.

Zuzanna cała opadła. Kości jej stały się, jak z wosku, z przerażenia. Ujrzała się brnącą całe wiorsty po piasku ku tym bezimiennym domkom.

— Zuzanno, możesz wsiąść do omnibusu i wziąć ręczne pakunki.

Na słodki wyraz: omnibus—promień nadziei wstąpił do serca panny służącej—i gdy pięknie ubrany hotelowy w długiej niebieskiej liberyi i w spodniach bez zarzutu wsiadł grzecznie z nią do pojazdu, który był niemylną rzeczywistością, omal nie zapłakała z radości.

Zaś Domini w towarzystwie pogodnego poety szła w kierunku ciągnących się ogrodów Beni-Mory. Przeszli przez most drewniany. Kurz biały unosił się od drogi, po której liczni arystokraci arabscy przechadzali się niedbale, dzierżąc lekko w swych dłoniach małe czerwone różyczki lub pąki różowe geranium. W białych swych szatach wyglądali, jak zakonnicy, choć papierosy w ustach wielu z nich rozpraszały ułudę. Niektórzy z nich byli ubrani, jak Batucz, w szaty blado-barwne. Stąpając, trzymali się za ręce i gwarzyli głosami miękkiemi altowemi. Dwóch czy trzech miało za sobą służących, postępujących krok lub dwa w tyle z lewej strony. Byli to członkowie wielkich rodzin, naczelnicy plemion, męże, mający władzę nad ludami Sahary. Jeden z nich, nizkiego wzrostu, z czarną, jak węgiel, brodą, miał ruchy tak majestatyczne, że zdał się prawie olbrzymem. Lico jego było bardzo blade. Na jednej z jego drobnych, prawie białych, rąk błyszczał dyamentowy pierścień. Chłopiec z długim orlim nosem stąpał obok niego poważnie w bronzowych skórzanych rękawiczkach i w turbanie, naszywanym złotem.

— To Kaid z Tongi, proszę pani, — rzekł szeptem Batucz, patrząc ze czcią na bladego pana. — Jest on tu *en permission*.

— Jaki on biały!

— Chcieli go otruć. Od tej pory wciąż jest chory. A to brat jego. Bronzowe rękawiczki—to bardzo *chic*.

Jasny powóz przemknął szybko koło nich w białym obłoku kurzu. Był zaprzężony w parę białych mułów, wymachujących długiemi ogonami, gdy biegły żwawym kłusem, podniecane trzaskaniem bata. Duży chłopiec z ciężkiemi piwnemi oczyma powoził na miejscu stangreta. U jego boku siedział bardzo wysoki młody murzyn, z zabawnie spiczastym nosem, barwy żółtego pierwiosnka. Uśmiechnął się on do Batucza z poza mgły kurzu, który uwydatniał czarny, jak węgiel, kolor jego trzpiotowatego, rozpromienionego lica.

— To jest syn Aghi ze swym Mabrukiem.

Skręcili w bok i weszli do długiego tunelu, utworzonego przez drzewa mimozy, które schodziły się ponad szeroką ścieżką. Zprawa i zlewa było wiele innych drobnych ścież, rozchodzących się pośród pni drzew owocowych i gałęzi krzewów, które tu rosły w przepychu. Pośród brunatnych piasczystych ław, pilnie ubitych i ugładzonych łopatami ogrodników, płynęły strumienie ciemnej wody, sprowadzonej tu z pustyni drogą przekopów. Młyn Kaida czuwał nad niemi i wielki mur forteczny. Światło w tunelu było łagodne i miało odcień zielony. Słychać było szmer mknących strumieni. Na ławkach siedzieli w odstępach arabowie w drzemiących pozycyach ze swemi pantofla

mi bez obcasów, zwieszającemi się z gołych stóp. Za wylotem tunelu Domini mogła dojrzeć dwóch jeźdźców, galopujących na schwał po pustyni. Czerwone ich płaszcze spływały po spadzistych bokach koni, które, jak w szaleństwie zawodów, schłaniały grunt pod stopami. Znikały z oczu w ostatniej chwale słońca, które cicho układało się na równinie, płonące pośród wierzchołków gór krwawych.

Wszystkie odmiany tej krainy stanowiły dla Domini czar wyszukany i pewną drogą tajemną wzbudzały rzeczy wiekuiste; szemrały one jej przez kolor, przez światło i cienie, przez kształty liści i skał, przez powietrze, to świeże, to upoiście ciepłe i wonne, przez ciszę, która wkrąg zwisała, jak obłok przezroczy na niebie złocistem.

Wraz z Batuczem weszła teraz w głąb samą tunelu, gdzie zmrok był nierozbity.

Pokój tych ogrodów był zachwycający. Przerywał go jedynie miejscami szmer kół na drodze, gdy powóz przetaczał się mimo jakiego domu, które były ukryte w głębi oazy. Ledwie że przerywało to głosy gwarzących sennie arabów. Wielu z nich atoli nic nie mówiło, lecz siedziało w pełnych wdzięku pozycyach, ze zwieszonemi rękoma i z oczyma, jak oczy gazeli, spoglądającemi na cieniste ścieżki i sączące się wody z pogodą poważną, zrodzoną w najgłębszej bierności ducha.

Batucz atoli lubił gwarzyć — i wkrótce rozpoczął swój tęskny monolog.

Oświadczył on Domini, że był w Paryżu, jako gość jednego poety francuskiego, który uwielbiał Wschód; że sam był „nauczony“ — i nie — jak inni arabowie; że pali haszysz i umie śpiewać pieśni miłosne Sahary; że pracował daleko w pustyni przy robotach hydraulicznych; że układa wiersze w nocy, gdy próżniacy, pijacy absyntu i gracze w domino śpią lub trwonią czas na hulankach, gdy sybaryci potnieją pod parnemi arkadami murzyńskich kąpieli, a handlarze dziewcząt tanecznych w swych domach o płaskich dachach strzegą klejnotów i amuletów swojej wesołej rzeszy. Wiersze te pisze on po arabsku i po francusku, i poeta paryski, a razem jego przyjaciele orzekli, iż są piękne, jak jutrzenka i jak drzewa palmowe Urlany, gdzie są studnie artezyjskie. Wszystkie dziewczęta Uledy wysławione są w wierszach tych: Aiszusza i Irena, Fatma i Baali. Bierze on też za treść do nich legendy, jako to: o szanownym marabucie, który śpi w Raju Allaha, o wielkich wojownikach, co zbiegli nad skaliste przepaści Konstantyny i dalej — na piaski południa — i inne, i inne.

Wszystkich tych wiadomości, nie zupełnie pozbawionych naiwnej próżności, udzielił jej Batucz wspaniale i melodyjnie, gdy szli w cieniu tunelu. Miłe jej było go słuchać. Poważne nazwiska, które wygłaszał, przeźrocze ich brzmienie, wieści o dzikich czynach, które w zamierzchłych wiekach tu się spełniły, o życiu kapłanów tych prastarych religii, o dziewczętach, które na umalowanych na czerwono wielbłądach odbywają wycieczki do domów tanecznych miast Sahary — wszystko to kołysało obecnie jej ducha i zdało się szczepić w nim niby czułe drzewo mimozy—głęboko w piasku tym pustyni na słońcu szczepione.

Zapomniała już zupełnie o gorzkiem uczuciu w wagonie kolejowym — gdy naraz zdarzenie, nie licujące z obecnym jej stanem, zbudziło je powrotnie.

Na ścieżce poza niemi rozległy się kroki osób, idących szybciej, niż oni, i za chwilę Domini ujrzała swego towarzysza podróży, równającego się z niemi, w towarzystwie młodego araba, który niósł zielony worek podróżny. Cudzoziemiec patrzał wprost przed siebie wgłąb tunelu i minął ich prędko. Przewodnik atoli jego miał widocznie coś do powiedzenia Batuczowi i zwolnił kroku, zostając nieco poza nim na chwilę. Był to bardzo szczupły, chudy, jak gnat, młodzieniec, około dwudziestu trzech lat, z czekoladowej barwy skórą, z wystającemi kośćmi licowemi, z długiemi, kształtu migdałów oczyma, iskrzącemi się tryskającym humorem, i szerokiemi ustami, które się śmiały, ukazując białe spiczaste zęby. Nad górną jego wargą przesiewał się gęsty czarny wąsik i długie, sute kosmyki czarnych, jak dżety, włosów wychylały się na przedzie z pod fezu, nasuniętego na tył jego małej głowy. Szyja jego była cienka i długa, a ręce zadziwiająco delikatne i pełne wyrazu, z różowemi i całkiem pięknemi paznogciami. Gdy śmiał się, miał przyzwyczajenie wyciągania naprzód głowy i chowania swego podbródka, przez co kutas jego fezu spadał mu to na jednę, to na drugą stronę skroni. Miał na sobie biały burnus, przepasany wielobarwną sztuką jedwabiu ze strzępionemi końcami—a cienki był w pasie, jak panna.

Zagadał do Batucza z żywością po arabsku, rzucając jednocześnie pół-korne, pół-bezwstydne, całkiem — a nawet nad obyczaj zuchwałe i inteligentne spojrzenia ku Domini. Batucz odpowiedział z pełną godności powagą, która zdała się być jego cechą szczególną. Rozmowa trwała dwie czy trzy minuty. Domini pomyślała, że dźwięczało to, jak kłotnia, nie była atoli wzwyczajona do mowy arabskiej. Przez ten czas cudzoziemiec na przedzie zwolnił kroku i widocznie oczekiwał na swego niedbałego przewodnika. Raz czy dwa razy prawie się zatrzymał i zrobił ruch, jakby się chciał obejrzeć. Powstrzymał się atoli i szedł dalej wolno. Przewodnik jego mówił coraz gwałtowniej i naraz, wtulając swą brodę i ukazując rzędy dużych błyszczących zębów, wybuchnął wesołym chłopięcym śmiechem, wstrząsając jednocześnie głową. Potem raz jeszcze rzucił ostatnie ukradkiem spojrzenie ku Domini i ruszył śpiesznie, wymachując zielonym workiem w powietrzu. A gdy już odszedł, jeszcze obrócił głowę i spojrzał całą twarzą ku Domini. Na tę próżność i pewność wrażenia swej osoby Domini nie mogła się powstrzymać od śmiechu. Było to śmiesznie dziecinne, lecz zarazem było w tem coś okrutnego i złośliwego. Gdy zrównał się z cudzoziemcem, ów obejrzał się, rzekł coś do niego i obaj przyśpieszyli kroku. Domini uderzyła różnica ich kroków. Cudzoziemiec, chociaż był mocnej i muskularnej budowy, stąpał raczej ciężko i niezdarnie, osobliwie posuwistym ruchem stóp. Poczęła zgadywać, ile mógł mieć lat. Osądziła, iż koło trzydziestu pięciu lub sześciu.

— To Hadi, — rzekł Batucz swym miękkim i sutym głosem.

— Hadi?

DCN.

TREŚĆ NUMERU 5-go.

Bóg wie kto. *Eliza Orzeszkowa.*
Marzyciel. *Władysław St. Reymont.*
63. *Zygmunt Bartkiewicz.*
Przywódca. *Stefan Krzywoszewski.*
Ogród Allaha. *Robert Hichens.*

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową: **4** rb. rocznie, **2** rb. półrocznie; **1** rb. kwartalnie.

BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Aleja Jerozolimska № 49.

REDAKTOR I WYDAWCA:
Józef Jankowski.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ul. Zyblikiewicza, № 8.

Druk Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.